



Eugeniusz Toman

Podniebni żołnierze

Eugeniusz Toman

Podniebni żołnierze

*Pamięci pradziadka Tomasza,
dziadków Jana i Bonawentury
oraz ich rodzin dotkniętych skutkami wojny*

ISBN 978-83-60593-27-1

1 Jesteśmy nad Dęblinem! Teraz zniżamy się do świateł w dole... Zataczamy koło, żeby wejść na trasę powrotną. Miasteczko jarzy się jak harcerskie ognisko... Dookoła nieprzenikniona ciemność. Lecimy nad ruinami fortu, których się tylko domyślam. Na lewym trawersie świeci plac batalionu saperów w historycznej cytadeli... W czarnej przecince krwawi gwiazda – to pomnik masowej zagłady sowieckich jeńców wojennych w byłym niemieckim stalagu... W pochyleniu skrzydła, za smolistą strugą Wieprza, leży poczerniały cmentarz żołnierzy–legionistów...

Sunę z instruktorem przez lotnisko z gromadką światełek garnizonowego osiedla i Portu Lotniczego, który do złudzenia przypomina niewielki zameczek z wieżą i tarasem. Po prawej w tył przesuwiają się fioletowo-białe długie linie kropek pasa startowego i drogi kołowania, ale tam nie będziemy lądować. Z północno-zachodniego krańca lotniska podpływają budynki w kształcie podkowy, otaczające plac o rozmiarach sporego lądowiska śmigłowców. U jego wejścia, przy kamiennych murkach, stoją rzędem lampy prowadzące do stadionu. Wąż ulicznych latarni sunie szybko pod nami, zakręca w lewo i kładzie złamane cienie na dachy baraków, okala je w prawo i kieruje się ku pionowej ścianie pomnika lotników, z czerwonymi światłami na szczycie.

Wznosimy się. W ciemnym parku utonęła willa komendy szkoły i znikł pałac Jabłonowskich. Pośród czarnych koron

drzew skrył się stadion z pływalnią i torem przeszkód, zmały pękate garby hangarów, budynek kadetów, asfaltowy plac ze stołówką z wydłużonym schodkami, pionowym skrzydłem na podmurówce, oddziałem szkolenia i koszarowcem podchorążych. Miejscem mojej tresury... Ileż tam przeszedłem musztry i odbyłem alarmów... Chociaż odrzutowiec w górze huczał po swojemu, w dole panował bezruch, nie poruszały się żadne pojazdy. Jedyne przy ekranach radarów i radiostacji na stanowisku dowodzenia pracowały służby lotniskowe, przy hangarach czuwali niewidoczni wartownicy. Pozostały personel lotniczy na osiedlu i żołnierze w koszarach spali, prócz służb dyżurnych, na ile było to możliwe, spokojnym snem. Wokół zaległa cisza, wyjąłowiona z żołnierskich marszów i biegania, krzykliwych komend i rozkazów. Poniżej odpoczywali też moi koledzy, którzy nieco wcześniej zakończyli latanie. Przeleciałem nad ich snem...

Podparłszy się na łokciach, nasłuchiwałem... Słyszeć jakieś szumy, stuki, szmery? Boli mnie głowa! Dla pewności potarłem uszy. Szumy nie ustają... Coś się jednak dzieje, trzeba się ruszyć. Niechętnie odgarnąłem z siebie dwa szare koce z prześcieradłem i z piętka ostrożnie zsunąłem się na obłą podłogę. Pod stopami chłodne deski, w nozdrzach duszący zapach pasty. Cholera, dyżurny sali przesadził z tym pastowaniem! Spokojnie, muszę się zastanowić, pomyśleć...

Brzdęk! Coś upadło. Teraz szuranie po deskach. Ktoś czegoś szuka? – Co jest, do jasnej cholery!

Wytrzeszczyłem gały do granic możliwości, lecz w mroku niewiele wyłowiłem. Tylko jakieś sylwetki, błędne cienie... Naraz łomot i kopnięcie. Prask...! – przeleciało wzdłuż sali jak w dominie. Coś trzasnęło w taborety. Och, to jakiś niemy spektakl: tasują się zjawy, potęgują stukoty, bez żadnych odgłosów, krzyków, komend. I ani jednego przekleństwa? Zen, gdzie jesteś? – dotykałem bezładnie odrzuconych na bok koców parterowego legowiska; były ciepłe, lecz opuszczone. Zenek zniknął. Nie, nie, tylko nie to, chce mi się spać! Postawiłem gołą stopę na metalowym obrzeżu, żeby z powrotem wciągnąć się na swoje leże, gdy przez gwałtownie otwarte drzwi na korytarz, przez całą szerokość wejścia–wyjścia wpadło mdłe światło, a z nim Masa – syn nauczycielki z Torunia; w żółtawym mroku ledwie go rozpoznałem. W prawej ręce lekko dzierżył kałasznika. Oho, to jakiś głupi dowcip albo sen, pomyślałem, jest trzecia, czwarta w nocy, nie dam się nabrać.

– Pies, pospiesz się! – rzucił mi Masa prosto w twarz.

Pospiesz się?! Mam się pospieszyć? Powinienem pospieszyć pośpiech, cały wejść w pośpiech, stać się pośpiechem? Bez wątpienia miałem skwaszoną minę, i wręcz zdrętwiałem, przytrzymując nogę na metalowej krawędzi; przypominałem pewnie kukłę w pionowe niebieskie paski, gdy Masa parł już pod ledwo zarysowane w ciemności okna,

taranując swoją ciężką wagą zagradzające mu drogę cienie.
– To alarm! – krzyknął jeszcze i nic sensowniejszego nie usłyszałem. To nie były żarty.

Zanurkowałem w prostokąt drzwi i wypadłem na korytarz, żeby sprawdzić: jawa to czy sen. Pod sufitem nie paliły się jarzeniówki, jedynie nad biurkiem podoficera dyżurnego kociła się lampa naftowa. Wbiegłem do łazienki i nacisnąłem odruchowo kontakt. Światła nie było, lecz nie szedłem po omacku; na ścianie jarzyła się inna lampa naftowa. Stojąc boso na betonie, od razu wsunąłem twarz pod kran z lejącą się do blaszanego koryta strużką. Suszyło mnie. Piłem łączywie wodę niczym dromader przed wyprawą na pustynię. Łapiąc wartki strumień ustami, powoli uświadamiałem sobie, co się wokół mnie dzieje. Gasilem pragnienie, gdy mój wciąż bezwolny stan burzyły spłoszone myśli.

Biegąc z powrotem, otarłem się o Zenka, syna kolejarza z Kłędzka, chodzącego własnymi torami, który w podskokach podciągał spodnie. Alarmowa komenda dyżurnego podoficera na pewno go zbudziła. Widział przecież, że sprężyny nad jego głową są wybrzuszone i leżałem na nich jak trusia. Dlaczego mnie nie zbudził? Jasne, w takiej sytuacji myślał tylko o sobie. Taki kolega? Nie było co dłużej o tym rozmyślać, byłem spóźniony. W przelocie przez szatnię przy kapciorze dowódcy chwyciłem ostatnią panterkę, wiszącą samotnie na wieszakach wśród płaszczy i mundurów wyjściowych nad

pólkami na półbuty, i już w sali, zrzucając z siebie piżamę, porwałem z taboretu bluzę, wskoczyłem w nogawki moro i w zgarnięte z korytarza jedyne buty, które wśród innych stały tam pod ścianą od capstrzyku. Nałożyłem panterkę, zaciągnąłem skórzany pas...

Docierało do mnie, że jeśli nie zdążę na zbiórkę, nie dostanę od szefa kompanii w sobotę przepustki. Od tego starego kawalera, dobrze po trzydziestce, z kilkudziesięcioma nastroszonymi włoskami na małej głowie, z perkatą kulką nosa, pośrodku spieczonej jak zrazi wydłużonej gęby, zwanego Koniem. Ta koścista szkapo obarczy mnie dodatkową służbą dyżurnego poza kolejnością lub dołoży mi jak amen w pacierzu trzy dni zoku na piątek, sobotę, niedzielę. W pełnym rynsztunku, w polowym mundurze, z plecakiem, bronią, w wypolerowanych buciorach i hełmie na zwieńczeniu, co dnia rano i wieczorem przed oficerem dyżurnym oddziału szkolenia będę okazywał żołnierski rynsztunek. W tej konkurencji nie z własnego wyboru byłem rekordzistą kompanii. Tego cholernego zakazu opuszczania koszar ubierałem aż czterdzieści siedem dni!

Machnąłem ręką: dowódcy i tak reguły stosują po swojemu. Na poprzednim alarmie specjalnie zajęliśmy z Ciapciakiem czołowe miejsca i... nie dostaliśmy nagrody. Czyli przepustki na miasto. Major Tata uznał, że taki rarytas nam się nie należy, bo jesteśmy zbyt przekorni, to jest niepokorni.

Wpadłem do magazynu broni, niedaleko, naprzeciw trzeciej kwatery, wprost pod świdrujące oczka samego sierżanta Konia. Czekał na marudera. Stał w rozkroku za szeroko otwartymi blaszanymi drzwiami: w hełmie, z mapnikiem, maską przeciwgazową zwisającą z ramienia i z tetetką u pasa. Wpatrywał się w opustoszałe stojaki na broń. Gdy dojrzał mnie w przepuszczanym jak przez mocz świetle lampy naftowej, znacząco zerknął na zegarek. Pochwyciłem z regału parciany pokrowiec z trzema pustymi magazynkami, saperkę, maskę pegaz i swojego kałasznika, wykrzykując z pamięci jego siedmiocyfrowy numer. Na korytarzu poobijałem się jeszcze o objuczonych pchorów, to znaczy podchorążych spływających już falami z pięt, wypadających z parterowych sal i korytarzy na plac alarmowy. Nie widząc nawet, o kogo uderzam, ponownie znalazłem się w piątej kwaterze, w tym swoim zakątku po prawej. Przez parę sekund szarpałem się z odpinaniem plecaka z łóżka, w milczeniu przepychając się z podobnie starającym się Zenkiem. Wymacałem wypukły kwadrat peleryny, poduszczkę jednorazowego opatrunku, bagnet, menażkę, manierkę. Wcisnąłem do środka wyjęte z szafki dresy, przybory do czyszczenia butów, pędzel do golenia, pastę i szczoteczkę do zębów, szare mydło, zapasowe onuce, tenisówki i dwa cienkie ręczniki. Pomiąłem prześcieradła, piżamę, torbę z zeszytami i szkolne kapcie; nie należały do rzeczy alarmowych. Podciągałem rzemykami ochraniacz

przeciwchemiczny, specjalny atrybut bojowy, i przytraczałem do plecaka zrolowany jeszcze ciepły koc. Obezwładniała mnie jedyna myśl na czubku głowy: jak prześcignąć czas.

W górze znikaly gwiazdy, gdy po sprawdzeniu obecności kompanie podchorążych wchodziły dwójkami w otwartą czeluść pola wlotów i upadków. Nasz rocznik prowadził. Szedłem w środku szyku, przebierając półprzymkniętymi nogami. Drugiego i pierwszego rocznika podchorążych nie było widać. Z tyłu jak psi ogon ciągnął się za nami ich rytmiczny chód, równy tupot ponad dwóch setek par butów; kompanie kadetów i elewów przemieszczały się gdzieś z boku. Ale cały ten marsz wkrótce ucichł, kiedy urwał się beton drogi kołowania i pasa startowego, a pod nogi usłużnie wsunęła się czarna murawa.

Sądziłem, że po kilku godzinach biegania i chodzenia bez celu powrócimy do koszar, na pierwsze śniadanie, i pójdziemy jak zwykle na zajęcia z przedmiotów lotniczych. Miałem mieszane odczucia. Nie zawsze tak bywało... Mery z Hrabią wrócili z przepustki parę minut po północy, wtedy dowódca kompanii zarządził od razu alarm dla wszystkich, z wymarszem na drugi kraniec lotniska. Cywile pobili podchorążego pierwszego rocznika, więc nasza starsza kompania w odwecie pobiegła z pasami w dłoniach do miasta tłuc, kogo popadnie. I następny nocny alarm – dla nauczki. Nawet dla mnie, mimo że pełniłem wówczas

służbę dyżurnego kompanii. Przeszedłem jeszcze wiele typowych alarmów szkoleniowych, z długodystansowymi wyprawami w nieznany bój. Najbardziej zapamiętany to alarm zapoznawczy z chłodem, był podczas minionej zimy. Ze stołówki z termosem zupy na plecach czołgałem się w trzydziestostopniowym mrozie do lotniskowych transzei ze śniegu. A teraz znów...

Poruszaliśmy się w milczeniu, na wschód. Zachować ciszę! Taki był rozkaz dowódcy kompanii, przysadzystego, wyłysiałego pod hełmem luda, z nieodłącznym chuchem po gorzałce, majora Taty. W wielkiej konspiracji zostawały za nami posępne o tej porze doby budynki szkolne, pułkowe hangary, śmigłowce, antki, migi, limy oraz iskry, a daleko z lewej, za rozmazanymi w ciemnej mgłę zagajnikami tonęły uśpione domki wiejskiego miasteczka Dęblin. Bywaj szkoła lotnicza! Żegnaj duchu lotnika! Ogólnowojskowi wzięli cię w swoje gęby.

– Komuś coś odbiło! – zaprotestowałem sobie a wodzom, kiedy na trzecim kilometrze pod prawą onucą poczułem na pięcie pierwszy piekący bąbel; taki bąbel rogowacieje dopiero za trzecim razem. – A pieprzyć poligony! – Nie poprawiło mi to ani samopoczucia, ani nie zmniejszyło łupania w czaszce.

– Wyobraź sobie lot koszący! – wrzucił mi złośliwie w prawe ucho pod kryzą hełmu Kajman, koleś z Kołobrzegu, telepiący się obok z kłopotami u pasa. – Rozstaw tylko ręce!

– Bachuś! – huknął ni stąd, ni zowąd major Tata, wydając

z siebie przedziwnym barytonem swoje „baczość”, a sierżant Koń natychmiast skwapliwie przystąpił do pilnowania, pojawiając się to z przodu, to z tyłu, by nasze nogi szły bardziej sprężysto.

Komenda „bachuś” kojarzyła nam się z Bachusem, starożytnym bogiem greckich opojów, jednak major był dla nas tatą. Po chwili jego „sposzuj” bynajmniej nie oznaczało płaszczenia dupy na aksamitnej trawie, kiedy mundur, plecak, broń na prawym ramieniu i stalowy hełm na głowie poczęły się jednoczyć z rozgrzanym ciałem.

Dobrze, że do młodszych roczników odeszli nasi dowódcy plutonów, podporucznicy po wrocławskiej oficerskiej szkole zmechanizowanej. Ci to byli odjazdowi w musztrowaniu! Trzymali w napięciu od rana, na przemian z szefem kompanii – do wieczora. Przed przysięgą – codziennie. Przez prawie trzy miesiące – po ostatecznym przekroczeniu głównej bramy z długą białą szarfą na jej szczycie i z tak samo rozwlekłym niebieskim powitaniem: „Witamy Was w dęblińskiej *Alma Mater*”. Jak się wkrótce okazało – także z ukrytą na jej odwrocie intencją: mamy was! I od razu, bez taryfy ulgowej dla ochotnika, dopadła nas musztra.

Przez sześć dni w tygodniu przyszło nam tupać po zebrach na placu. Czołganie odbywało się w polu, bieganie zaś za lotniskiem, w kierunku strzelnicy lub po torze przeszkód przy stadionie. Pod gradem nieodstępujących nas na chwilę wrzaskliwych komend. Rarytasem dowódców plutonów

był „lotnik”. Po powrocie do sal zastawaliśmy skotłowane materace jak po bombardowaniu. Zadawali sobie sporo trudu, burząc sto dwadzieścia pościeli! Tak zmuszali nas do ponownego siania legowisk i prasowania koców blatami taboretów. Kto po obiedzie położył się na takim barłogu, miał dodatkowego „lotnika”.

Podporucznicy zmechanicy to *typowi* ogólnowojskowi, przefarbowani zieloni, z wojsk lądowych specjalnie ściągnięci do szkoły przez komendanta, nieźle zamaskowani w stalowych mundurach zające. Udowadniali nam wyższość kierowców skotów nad pilotami limów. Że niby zmech panuje na ziemi, gdy lotnik jest tylko smugą cienia na niebie. To szczególne typy *zupaków*, wyjątkowe *zupactwo*! Określenie *zupak* wzięło się stąd, że każdy żołnierz zawodowy, który pełnił i pełni służbę oficera dyżurnego w pododdziale, razem z podwładnymi zjada na obiad darmową zupę w żołnierskiej stołówce. Jednak *zupak* to nade wszystko *charakter*! Taki rodzaj nieprzejednanego charakteru, skrupulatnie i przesadnie egzekwujący wykładnię regulaminu. Posłuszny żołnierz jak zegarek, wystarczy go dobrze nakręcić i obserwować, czy dokładnie chodzi. Takimi *zupakami* na co dzień okazywali się zazwyczaj podoficerowie i chorążowie oraz niektórzy oficerowie, chociaż od dawna żołnierskiej zupy nie smakowali, bo takich służb u szeregowców już nie pełnili. A bywali nimi technicy, inżynierowie, wykładowcy, dowódcy kompanii, dowódcy batalionów czy dowódcy

pułków. Przecież musieli się jakoś zasłużyć, żeby w końcu osiągnąć to swoje najwyższe z możliwych stanowisko. Takim zupakiem wciąż, bez wątpienia, był sierżant Koń. Zupak doskonały. Wręcz klasyk. Wzięty wprost z powieści Ericha Marii Remarque'a *Na Zachodzie bez zmian*. Założę się, że to właśnie on pierwszy narobi w gacie, jeśli znajdzie się na pierwszej linii prawdziwego frontu...

– Stój! – nadleciała krzykliwa komenda z pola. Więc stoimy. Skończył się równy teren i wolno jadący przed nami samochód ciężarowy z zaopatrzeniem bojowym zatrzymał się na amen. Sierżant Koń, już na pokładzie wozu, rozdał nam po trzy paczki naboarów i po petardzie na łebka. Zapowiadał się bój.

– Naprzód marsz! – Teraz w całej kompanii metaliczne trzaskanie; każdy z nas wsuwał mechanicznie w magazynki chłodne ślepaki z przydziału.

2 Do szkoły lotniczej zgłosiłem się na ochotnika. Po tym, jak w trzeciej klasie liceum ukończyłem kurs szybowcowy. O, wakacyjne latanie na czapli to niezapomniane przeżycie... Czegoś takiego w życiu nie zaznałem! Szybkie wznoszenie w leciutkich porywach wiatru, unoszenie i opadanie, i szerokie zakręcanie w przechyleniu, i rozpędzanie w nurkowaniu. Było sporo strachu podczas startu na stalowej

kilometrowej linii wyciągarki, ale ile atrakcji w locie! Ile wody, zielonych pól, lasów i czerwonych dachów było pode mną. Widziałem platynowe rozlewisko Odry i jej srebrne wstęgi, wijące się przez rozległy Szczecin. Ulice jak na dłoni, promieniste szeregi budynków i rozpychające się pośród nich kościoły, i jak malowany – Zamek Książąt Pomorskich, a na horyzoncie – bezkres niebieskiego lustra zalewu przed zamglonym morzem. Słyszałem cichutki, jednostajny szum powietrza na szybowcu, zdającego się ścigać z uciekającymi chmury. Lot trwał pięć minut, gdy ponad ruchomymi ogrodami wracałem na lotnisko. Po czwartym zakręcie szybowałem... Z prędkością 70 kilometrów na godzinę łagodnie zbliżałem się do zielonej łąki i tuż przy białych płótnach ułożonych w literę T tyłkiem na kółku szorowałem lądowisko. Podskoki, hamowanie i przechył zatrzymanego skrzydła. Cisza... Trzask otwieranej kabiny... I wariowała moja radość! Cieszyłem się jak dziecko wkładające po raz pierwszy palec do morza. A morze nade mną było pionowe!

Płynąć godzinę kadetem po wodzie to nie to samo, co unosić się przez parę minut nad kołyszącą się ziemią. Po każdym lądowaniu natychmiast chciałem wyskakiwać z kabiny, podskakiwać na trawie, wymachiwać rękami, biec bez celu. Coś we mnie pulsowało, dudniło, nakazywało dzielić się swoją radością ze wszystkimi. Kogokolwiek spotkałem w mieście, opowiadałem, jakie to fantastyczne, wspaniałe, piękne, nie zważając, że koledzy pukali się

w czoło. Doznałem uniesienia jak nigdy dotąd!

I zapragnąłem latać bez przerwy. Kilkadziesiąt startów i lądowań to za mało! Nad ziemią można było przebywać o wiele dłużej, w prawdziwym lotnictwie, w wojsku. Jednak nie przypuszczałem, że to moje latanie podczas lotniczego przysposobienia wojskowego w aeroklubie stanie się przynętą. Żaden z instruktorów specjalnie nie zachęcał, żebyśmy udawali się do wojskowego lotnictwa, ale w aeroklubie dalsze latanie nie było możliwe. Kto więc połknął bakcyl latania, mógł pójść dalej, czyli udać się do szkoły lotniczej. Wystarczyło napisać podanie... W Dęblinie latało się o wiele szybciej i o wiele wyżej... I to na czym! Na odrzutowcach... Dla wielu chłopaków było to niedościgłe marzenie: latać na srebrnych deltach. Nad swoim miastem często je widywałem, jak białymi smugami rysowały na niebie esy-floresy.

Ostatecznie do lotnictwa wciągnęła mnie powietrzna defilada. Kiedy w aeroklubowej świetlicy na ekranie telewizora z zapartym tchem obserwowałem, jak sto sześćdziesiąt odrzutowców pojawiło się nad Warszawą... Ale jak się pojawiło! Po błękitnym niebie wolno przesunął się wielki „Orzeł”, a zaraz po nim nieco szybciej – liczba „1000”. Nad Pałacem Kultury przeleciało też szesnaście iskier w biało-czerwonej „tafli” i trzydzieści sześć limów, ułożonych w „jodełkę”, po dziewięć sztuk. Największą atrakcją były jednak naddźwiękowe MiGi-19 i MiGi-

21, które nadleciały w dwóch grupach, po cztery „groty”, składające się z czterech maszyn. Chociaż leciały szybko, spiker mówił, że nie mogą rozwinąć pełnej prędkości, bo w warszawskich domach wyleciałyby szyby w oknach, podawał typy samolotów, ich ilość i objaśniał, jakie tworzą figury; wszystko zapisałem sobie w notatniku, który trzymam w domu do dziś. „Orzeł” ułożony był z bombowców Il-28. Dziewięć dużych zjaw w linii prostej tworzyło jego korpus, a po pięć ich par z każdego boku – skrzydła, skierowane ku górze, ogon zaś, dodatkowe cztery ility. Wyglądał jak ryczące monstrum... W telewizji słysząc było ryk jego sześćdziesięciu sześciu podwójnych silników. Stalowy, biały orzeł sunął majestatycznie po błękitnym niebie...

Nie mniejsze wrażenie wywarły na mnie czterdzieści trzy limy: siedem odrzutowców tworzyło „jedynekę”, a obok niej, z prawej, po dwanaście maszyn – trzy „zera”. Figura „1000” uświetniała tysiąclecie państwa. Jednak najbardziej zapierający dech w piersiach był przelot naddźwiękowych migów! Ta lotnicza parada wciągnęła mnie do lotnictwa bez reszty.

Teraz mam za swoje! Czyż mogłem przewidzieć, co mnie czeka na drodze *per aspera ad astra*? Że spotka mnie taki dryl? Że z deszczu wpadnę wprost pod rynnę?

Zaczęło się to na początku stycznia, trzeciego dnia pamiętnego roku, gdy z grupkami chłopaków po raz trzeci przekraczałem wojskową bramę w środku miasta... Po raz

pierwszy, ponad trzy lata wcześniej, przybyłem tu na badania lekarskie, do wojskowego szpitala lotniczego, leżącego po południowo-wschodniej stronie koszar. Koszary ani lotnisko za bardzo mnie nie interesowały, nie było na to czasu, liczyły się badania. A specjalistów było wielu! Prześwietlali mnie rentgenem, do nóg, piersi i głowy przykładali elektrody, ważyli mnie i mierzyli. Pobierali krew z żył, kazali dmuchać w spirogram, zaglądali w uszy, w nos, a nawet w tyłek! To ostatnie było dość krępujące: pokazać jądra, kaszlnąć, schylić się, rozchylić pośladki, zwłaszcza w obecności młodych pielęgniarek, które na widok zupełnie gołych chłopaków dostawały rumieńców. Nie obyło się też bez badania wzroku, a zwłaszcza nerwów, podczas których ktoś w białym kitlu uderzał nas gumowym młotkiem pod rzepki w kolanach i w przedramiona, nakazując przykładać przemiennie wskazującym palcem do nosa z wyprostowanych przed siebie rąk. Ponadto obserwowano mnie w komorze niskich ciśnień, skąd wypompowywano powietrze, odbywałem niby lot na wysokości, gdzie mierzono mi tętno, temperaturę, ciśnienie, a potem przez maskę tlenową podawano azot i kazano zapisywać na kartce kolejno cyfry od tysiąca w tył – jak długo wytrzymam bez powietrza. Typowy królik doświadczalny. Wyniki badań pokonały wszystkie moje niepokoje. Zmieściłem się w ich normie.

Po raz drugi przyjechałem pociągiem do Dębłina zaraz po maturze, na egzaminy wstępne, ze sprawności fizycznej